

## UE chciałyby mieć Internet jak w Chinach

**Autor:** Jan Lewiński

Każdy rodzic przekonuje się, jak funkcjonuje osobowość dziecka w pierwszych latach życia. Gdy już zyska ono świadomość interesu własnego, szybko uczy się różnymi metodami sprawdzać granice, do jakich może się posunąć kosztem otoczenia. Wielu dorosłych nie potrafi się oprzeć błaganiom, płaczom i innym formom wymuszania, które stosuje dziecko, aby jego było na wierzchu. Prowadzi to do [wychowania rozpieszczonego i antypatycznego bachora, który wrzeszcząc, piszcząc i tupiąc domaga się wypatrzonego batonika lub zabawki](#).



Pod wieloma względami politycy przypominają takie cwane dzieci. Stale szukają okazji do natychmiastowego powiększania władzy tam gdzie to tylko możliwe, nie zwracając uwagi na długofalowe skutki. Ich horyzont decyzyjny nie wykracza poza najbliższe parę kadencji, a nierzadko obejmuje tylko jedną. [Zyski osobiste polityka z tytułu sprawowanej funkcji są oczywiste](#), a jego „misja” [odległa](#) (i w ogóle wszelkie Weberowskie baśnie o idealnej biurokracji). Stąd też [niecierpliwe, febryczne i zachłanne rzucanie się na te wolności, które jeszcze jakimś zbiegiem okoliczności pozostawiono obywatelom](#). Najnowszym przykładem jest niezwykle groźny pomysł wprowadzenia w ramach UE sztucznych granic w ruchu internetowym — swoistego internetowego Schengen, które umożliwiłoby przepływ tylko zatwierdzonych informacji spoza UE — trochę na wzór [chińskiej Złotej Tarczy](#), a może i [rozwiązań libijskich](#) czy [egipskich](#).

### Twoje życie w rękach służb

Po tragedii 11 września rządowi George’a W. Busha udało się na fali powszechnego oburzenia przepchnąć przez maszynkę legislacyjną słynny *Patriot Act*, ustawę [na niespotykaną dotąd skalę rozszerzającą uprawnienia rządu i umożliwiającą w praktyce inwigilację każdego człowieka pod słońcem, nie tylko w](#)

[USA](#). Za sprawą zamachu z 11 września, a także tych w Madrycie i Londynie, również w Europie wnet dostrzeżono wręcz *nieznośną* wolność Internetu, który mógł — jak uzasadniano — posłużyć do rozpowszechniania terrorystycznych danych. W twórczy sposób rozwinięto więc [nienowe przecież](#) pomysły kontroli komunikacji w sieci.

Dotychczas stosowane środki inwigilacji były dość „ograniczone”. W niektórych krajach można było kontrolować dane wymieniane w Internecie tylko od momentu skierowania takiego żądania do dostawcy Internetu (tak jak w przypadku standardowych metod podsłuchowych). Ale rządowy bachor wiedział przecież, że cyfrowe dane można łatwo przechowywać, że nigdy się nie niszczą i tylko ich skasowanie uniemożliwia skorzystanie z nich. Wyciągnął więc pulchną rączkę i wrzasnął: „Chcę!”.

Wskutek skarg i prośb organów ścigania (a któż odmówi [bohaterskim szeryfom](#), gdy ci walczą z bandytami?) wprowadzono więc pospiesznie ([najpierw w Wielkiej Brytanii](#)) tzw. retencję danych, polegającą na zmuszeniu dostawców Internetu do przechowywania wszelkich informacji dotyczących czasu, adresu i rodzaju komunikacji pomiędzy wszystkimi użytkownikami Internetu (nie tylko podejrzanymi!). Pomysły przechowywania *całej zawartości* przekazywanych danych upadły jako — jeszcze — nierealne technicznie, choć np. [w Polsce obowiązywało rozporządzenie, w którym zakładano przechowywanie także treści](#) (było to jednak typowe martwe prawo). Poza tym rozmyślano nad rozwiązaniami zmuszającymi wszystkich dostawców Internetu (oraz operatorów portali i sieci komórkowych) do [utworzenia tajnych kancelarii i przeszkolenia pracowników odpowiedzialnych za obsługę danych „wrażliwych”](#) (w tym np. treści SMS-ów). Rozwiązanie było pomysłowe i z pewnością „ekonomiczne”, bo to nie służby, a *providerzy* musieliby płacić za te kaprysy prokuratorów. Co ciekawe, z podobnych przyczyn również dostawcy [spoza Polski stanęli swego czasu przed widmem bankructwa](#).

Tymczasem rząd Francji wpadł na jeszcze inny pomysł — tym razem związany z wpływowym lobby ochrony własności intelektualnej — mianowicie: aby umożliwić [odcinanie od Internetu bez zgody sądu, na życzenie odpowiednich służb](#). Na początku przewidywano uderzenie tylko w internautów dzielących się danymi w ramach sieci peer-to-peer (P2P), ale wkrótce rozszerzono te propozycje — co leży w naturze bachora — na wszelkie treści tworzone przez

użytkowników Internetu, czyli np. na blogi. W czasie prezydencji francuskiej próbowano narzucić to rozwiązanie całej Unii Europejskiej (także Polsce), co spotkało się z protestami [społeczności zwolenników wolności obywatelskiej](#) i zawodowców pracujących jako [informatycy](#), [ekonomiści](#) i [prawnicy](#), dla których wolność wypowiedzi jest jedną z naczelnych wartości naszej cywilizacji.

Politycy okazali się nieugięci w próbach zwiększania swojej władzy nad krnąbrnym Internetem i zaraz po odrzuceniu propozycji podjęli kolejne próby wprowadzenia tego rodzaju rozwiązań (co nawet trochę zabawne, [usiłowano je wprowadzić przez unijną Radę ds. Rolnictwa i Rybołówstwa](#)). Podobnie działo się z analogicznymi propozycjami regulowania Internetu w Polsce – [gdy tylko udało się odrzucić jeden z projektów, natychmiast proponowano nowy, jakby chodziło o stale odrastające hydrze łby](#).

Najnowszy pomysł polityków Unii Europejskiej to [wprowadzenie cenzury stron internetowych znajdujących się poza granicami UE](#). Formalny cel jest pozornie szczytny — walka z pedofilią, faszyzmem i innymi potwornościami. [Łatwo się jednak domyślić, o co tu chodzi — Internet jest w dużej mierze medium wolnym od lokalnego prawa stanowionego](#). Normy prawne Unii Europejskiej łatwo ominąć, umieszczając treści na zagranicznym serwerze, np. w Tajlandii. I już na nic się zda prawo autorskie i patentowe — można np. dowolnie reklamować i sprzedawać (o ile kontrola celna nie wyłapie) farmaceutyki produkowane w Chinach.

Przy okazji wzmianki o farmaceutykach ([koncerny farmaceutyczne pozostają w cieniu debaty o ogólnoeuropejskich uregulowaniach praw patentowych](#)) warto wspomnieć, że ustawy o ogólnoeuropejskim prawie własności (i patentowym, obejmującym też oprogramowanie) są niejako komplementarne względem ustaw regulujących treści w Internecie. Jak pisał swego czasu [serwis The 7th Guard](#):

*Warto również zwrócić uwagę na podobny czas przedstawienia dyrektywy IPRED2 [chodzi o regulacje mające zapewnić ochronę własności intelektualnej na wspólnym rynku — przyp. J. L.] z projektem dyrektywy o [zatrzymywaniu danych](#) przez operatorów — te dwa projekty się uzupełniają, a dane zebrane przez operatorów będą wykorzystywane do ścigania użytkowników*

*adresów IP, z których ściągano chronione prawem autorskim dane. Nawet, jeśli będą to posiadacze sprzedawanych przez TP SA słabo zabezpieczonych routerów WiFi.*

## **Walka z piratami**

Nietrudno zrozumieć, że „kontrola graniczna” Internetu mogłaby posłużyć do [unicestwienia uciążliwych stron](#) w rodzaju [The Pirate Bay](#), której serwery są rozproszone po różnych krajach. Kontrola ruchu generowanego przez użytkowników umożliwiłaby ściganie naruszeń prawa autorskiego i patentowego w ramach UE. Byłby to doskonały środek walki z piractwem internetowym. I mniejsza z tym, czy walka jest słuszna, czy nie — odbywałaby się kosztem prywatności obywateli Unii, a w przyszłości może i ich wolności politycznej (czego Egipt, Libia i Chiny są doskonałym przykładem).

Można oponować, twierdząc, że własność intelektualną należy traktować na równi z własnością materialną. Jej ochrona byłaby w takim scenariuszu w pełni uzasadniona (choć bywają przykłady kuriozalne, jak [zabiegi organizacji amerykańskiego przemysłu muzycznego RIAA mające na celu uznanie oprogramowania Open Source za nielegalne, pirackie i do tego szkodliwe dla amerykańskiej gospodarki](#)). Problem polega jednak na tym, że niejednokrotnie biorą się za to ludzie niekompetentni — przedstawiciele legislacyjnego monopolu państwa, którzy często nie rozumieją implikacji oraz istoty prawa własności intelektualnej, ale roszczą sobie pełne prawa do stanowienia o nim. Ich rozumienie przemysłu informatycznego i wpływ lobbystów na tych ludzi [definiuje prawo, którego musimy przestrzegać pod rygorem kar więzienia](#).

Doskonałym tego przykładem stała się [pewna nowozelandzka posłanka](#), zwolenniczka nowego rygorystycznego i kontrowersyjnego prawa pozwalającego na odcinanie użytkowników sieci od Internetu. Posłanka kilka godzin przed płomiennym wystąpieniem w obronie rzeczonyj ustawy umieściła na Twitterze informację jednoznacznie wskazującą na to, że sama złamała prawo autorskie, korzystając z przygotowanej przez znajomego składanki kupionych legalnie utworów (co w Nowej Zelandii jest nielegalne). [Specyfiki przemysłu informatycznego zapewne nie rozumieli też legislatorzy odpowiedzialni za podawane wyżej przykłady prawa](#), które nieomal doprowadziło do likwidacji mniejszych dostawców Internetu. Wprowadzenie wszystkich ich postulatów

mogłoby się wręcz skończyć likwidacją sieci w Europie. Technologii informatycznych z całą pewnością nie rozumieją również pracownicy urzędów patentowych, szczególnie tych amerykańskich, którzy są odpowiedzialni za przyznanie tak kuriozalnych patentów jak ten na zakupy za pomocą jednego kliknięcia, podwójne kliknięcie myszy albo przewijanie kółkiem myszy.

A co można powiedzieć o samych lobbystach, przedstawicielach największych firm na rynku (którym nieobce są [metody o wątpliwej uczciwości](#))? To przecież sam Bill Gates, gigant rynku komputerowego, powiedział, że 640 kB pamięci RAM starczy użytkownikom pecetów na zawsze. Ostatnio stwierdził, że [skrzynka pocztowa o wielkości 1 GB wystarczy absolutnie każdemu](#) — co może tylko wywołać śmiech osób, które np. przechowują na skrzynce pocztowej zdjęcia wysyłane do znajomych. Albo jak brać poważnie propozycje Microsoftu, aby [w USA karać firmy za współpracę z innymi firmami, które łamią prawa autorskie poza granicami USA](#)?

Brak zrozumienia fenomenu Internetu i rewolucji przemysłu informatycznego wywołuje zrozumiały sprzeciw środowisk profesjonalistów zajmujących się problemem. Powstają grupy stawiające sobie za cel zmianę *status quo*, choć — trzeba przyznać — często bez uzasadnienia teoretycznego i uzmysłowienia sobie istoty sprawy. [Niejednokrotnie wyrażają one jedynie instynktowny i emocjonalny sprzeciw wobec niesprawiedliwości, jaka może wynikać ze złego pojmowania prawa własności intelektualnej](#). Grupy te walczą o różne sprawy i z różnymi zjawiskami — od wolności informacji i prawa do wykorzystywania oraz przetwarzania wiedzy po zniszczenie „kapitalistycznych monopolistów” czy [„etatystycznych państwowych monopoli”](#) (firm farmaceutycznych i komputerowych, których zyski pochodzą wyłącznie z przyznanego przez państwo [i często absurdalnego monopolu na prawo do wykorzystywania informacji](#)).

Te strony sporu wyrażają pewne poglądy na własność intelektualną, a w szczególności na cud technologiczny informatyzacji i Internetu. [Strona etatystyczna stara się zdobyć i wykorzystać jak najwięcej możliwości gromadzenia danych i ich przetwarzania](#), a jej antagoniści występują przeciw tym zmianom, czasem proponując [własne wizje przyszłości praw autorskich](#). [Znajdują się wśród nich także artyści, którzy mają dość działalności takich organizacji jak polski ZAIKS](#) (nierzadko absurdalnej i jako żywo niesprawiedliwej; przykładowo

ze względu na to, że na pustej płycie CD-R *można* nagrać dane objęte prawem autorskim, to zgodnie z zasadą odpowiedzialności zbiorowej [producenci każdego pustego nośnika CD-R sprzedawanego w Polsce muszą płacić ZAiKSowi 3% swoich przychodów](#)). Jednym z głośnych przedstawicieli ruchu obrońców prawa do wolnego obiegu informacji stał się na chwilę Julian Assange. Gdy wykrał władzy jej tajniki (choć są też tacy, którzy twierdzą, że „wykrał” dane wcześniej dostępne i odpowiednio spreparowane), został, tak jak Prometeusz, przykładnie ukarany.

A wkrótce potem światło dzienne ujrzał — będący pretekstem do napisania tego komentarza — pomysł ograniczenia Internetu w Europie.